NOWOŚCI ILLUSTROWANE

Prenumerata wynosi: Kwartalnie 4 kor. — 4·25 Mrk. — 1 Rbs. 80 kop. z przesyłką pocztową 2 Rbs. 60 kop. Półrocznie 8 kor. — 8·50 Mrk. — 2 Rbs. 60 kop., z przesyłką pocztową 5 Rbs. 20 kop. Rocznie 16 kor. — 17 Mrk. — 7 Rbs. 20 kop., z przesyłką pocztową 10 Rbs. 40 kop.
W Ameryce: Półrocznie 2 dol. 25 cts — Rocznie 4 dol. 50 cts.
Zmiana adresu kosztuje 40 hal.

Ceny ogłoszeń: za wiersz jednoszpaltowy petitowy 20 halerzy — na ostatniej stronie lub w miejscu specyalnie zastrzeżonem 28 halerzy.

Wychodzi każdej soboty.
REDAKCYA i ADMINISTRACYA: KRAKÓW XV. ulica Kazimierza Wielkiego L. 95 (dom własny).
Telefon Nr. 479.
Naczelny redaktor: Sylweryusz Chmurkowski.

Główny skład na Królestwo Polskie: W. Biernacki i Spółka w Warszawie, Krakowskie Przedmieście 6.

Wyłączne zastępstwo na Lwów: KAROL BUCHSTAB, Biuro dzienników — Lwów, ul. Karola Ludwika 21.

Główny skład na Księstwo Poznańskie: M. Niemierkiewicz Poznań, plac Wilhelmowski 3.

Numer pojedynczy 32 halerzy — 15 kop. — 32 fen.

Rok XII. | Kraków, 5 czerwca 1915. | Nr. 23.

Z oswobodzonej Galicyi.



Jeńcy rosyjscy przed dworcem odzyskanego Rzeszowa.

Z oswobodzonej Galicyi.

(Relacya specyalnego sprawozdawcy).

W kilka dni zaledwie po wypędzeniu nieprzyjaciela za San, wyjechałem samochodem do wydartych z rąk przemożnego wroga powiatów. Zwiedziłem wszystkie miejscowości, położone wzdłuż bitego gościńca Kraków—Lwów, naocznie się przekonując o rozmiarach szkód naszych wsi i miasteczek, poniesionych wskutek zawieruchy wojennej.

* * *

Właściwy teatr wielkiej bitwy majowej stanowił szmat ziemi od Brzeska przez Wojnicz ku Dunajcowi. Wskutek tej wiecznej niepewności jutra ludność zupełnie nie uprawiała swych pól; wszystkie leżą odłogiem, poprzecinane rowami strzelniczymi. Im bardziej zbliżamy się ku wartkim wodom Dunajca, tem więcej rowów, i to coraz bardziej umocnionych. Pola tylko gdzieniegdzie uprawione, chałupy przeważnie zburzone. Tu i ówdzie widać orkę, do pługa w braku koni zaprzężone są dwie krowy. Zbliżamy się ku Dunajcowi. Jak daleko okiem sięgnąć, nic jeno rowy, mieszkania ziemne żołnierzy, betonowe fortyfikacye, zasieki z drutów kolczastych. Wśród tych pól wojennych, w bardziej zacisznych miejscach, widnieją ogrodzone cmentarzyki poległych żołnierzy i oficerów; wszystkie ozdobione kwiatami polnymi; na prostych krzyżach wyryte nożem nazwisko i imię poległego oraz dzień bohaterskiej śmierci.

* * *

Zatrzymujemy się — wskutek defektu koła samochodu — w górze Zbylitowskiej. Zdaleka na wzgórku widnieje klasztor SS. Sercanek. Dach wschodniego skrzydła jest zupełnie strzaskany granatami, jak również kościół zakładowy. Obok wiatrak wyciąga ku niebu połamane ramiona. Klasztor opustoszały; zakonnice wyjechały przed bombardowaniem do Tarnowa.

Nieco na boku wśród pól stoi ogrodzony cmentarzyk oficerów rosyjskich. Każdy grób starannie utrzymany, opatrzony jest pojedyńczym krzyżem, na którym wyryte jest imię i nazwisko poległego.

* * *

Wkrótce ruszyliśmy dalej. Minęliśmy Tarnów, kierując się ku Pilznu. Im bardziej oddalaliśmy się od Tarnowa tem zniszczenie pól jest coraz mniejsze. Chaty tylko gdzieniegdzie spalone. Ludzie pracują na roli, na łąkach pasie się bydło. Powoli zatracam świadomość, iż znajduję się na niedawnym terenie wojennym.

Stosunkowo najwięcej ucierpiały małe miasteczka, zamieszkałe przez liczną ludność żydowską. Domy żydów po największej części żołdactwo rosyjskie burzyło, a dobytek rozdzielali między siebie „przyjaciele“ żydów — kozacy.

Przybyliśmy do Pilzna. Małe, brudne miasteczko, zamieszkałe w większości przez ludność żydowską, ucierpiało niemało podczas inwazyi Rosyan.

Gdy Rosyanie wkroczyli do miasta, mieszkańcy musieli oddać im swe mieszkania na kwatery i to zupełnie bezinteresownie. W krótkim czasie mieszkania były raczej stajniami, niż ubikacyami mieszkalnemi. W domkach parterowych stały konie oficerskie.

* * *

Z Pilzna pojechaliśmy do Dębicy.

Dębica zajętą została przez Moskali 9 listopada. Nie przyszli Rosyanie odrazu całą masą, dopiero z końcem listopada rozpoczęła się prawdziwa wędrówka, trwająca do grudnia. Nie było prawie dnia, żeby głównym gościńcem od strony Lwowa, albo też naprawioną po części koleją żelazną nie ciągnęły na zachód coraz to nowe transporty wojsk. Ludność miejscowa przyzwyczaiła się do tych transportów tak dalece, że nauczyła się dokładnie nawet zdaleka rozróżniać, do którego pułku należy nadchodzący



(Fot. W. Sperber). Okopy austryackie nad Dunajcem.



Z oswobodzonej Galicyi: Pierwszy pociąg, który przybył do Rzeszowa po wyparciu Rosyan.



Z oswobodzonej Galicyi: Pompa na dworcu w Rzeszowie. (Fot. W. Sperber).

oddział wojska. Transportowane oddziały zachowywały się wobec mieszkańców dosyć grzecznie, tylko żołnierze z trenu dopuszczali się na mieszkańcach najgorszych wybryków.

* * *

Sędziszów, ostatnie większe miasteczko przed Rzeszowem, najmniej ucierpiał podczas inwazyi. Wskutek pożaru zgorzał w Rynku dom p. Molbera i apteka p. Kulczyckiego.

W Sędziszowie rezydował komendant rosyjski, który miał pod swymi rozkazami garnizony w Ropczycach i Sędziszowie. Jakiś czas komendantem był Polak, który nie dopuszczał do wybryków ze strony żołnierzy rosyjskich.

Do największych ekscesów ze strony rosyjskiego żołdactwa doszło z początkiem maja. Oficerowie rosyjscy zaczęli coraz częściej przebąkiwać o możności chwilowego odwrotu, aż wreszcie we wtorek, 7 maja, wynieśli się chyłkiem z okolicy. Tego samego jeszcze dnia wieczorem weszły wojska austryackie. Na wiadomość o rychłym odwrocie, poprzebierało się żołdactwo w ubrania cywilne, wypożyczone od ludności miejscowej, poczem pozostali w mieście i oddawali się do niewoli pierwszym patrolom naszego wojska.

* * *

Przybywamy wreszcie do Rzeszowa. Dawne miasteczko prowincyonalne obecnie przedstawia wręcz przeciwny widok. Ruch w mieście olbrzymi, samochody dudnią po brukach, tak, iż się odnosi wrażenie z ulic największych miast europejskich. – Ludność cywilna zupełnie zniknęła w powodzi mundurów wojsk sprzymierzonych. Trudno przecisnąć się przez tłumy żołnierzy. Na ulicach patrolują żandarmi polowi austryaccy i niemieccy.



Z oswobodzonej Galicyi: Hala lokomotyw na dworcu rzeszowskim. (Fot. W. Sperber).



Chorzy i ranni Legioniści na Węgrzech: Grupa Legionistów i personal szpitalny w Koloszwarze. (Fot Fran Palliardi).
(Do artykułu na stronie 13).

* * *

Po ewakuacyi Rzeszowa w dniu 7 listopada, następnego dnia nad ranem wkroczyła pierwsza patrol kozacka od strony ulicy Grunwaldzkiej. Za nią w kilka godzin później weszła sotnia kozaków, a dopiero koło południa główna armia wraz ze sztabem.

Rozpoczęły się straszne dnie. Żołdactwo hulało w niemożliwy sposób. Dopuszczano się mnóstwa rabunków. Szczególnem „upodobaniem“ kozaków cieszyły się mieszkania żydów. W mieszkaniach tych literalnie nic nie pozostało. Wszystko wynieśli, nawet... wanny.

Na czele zarządu miasta stał każdorazowy komendant miasta. Burmistrzem został z ramienia Rosyan komisarz rządowy Rzeszowa, dr. Jabłoński.

Pierwszym komendantem miasta był pułkownik Dymitriew. Z całą surowością występował on przeciw rabunkom i kradzieżom, dokonywanym przez żołnierzy rosyjskich. Za najmniejsze przewinienie karał niezmiernie ostro.

Drugim komendantem miasta był pułkownik Stanisław Dąbrowski, Polak. Nowy komendant starał się uchronić miasto od grabieży, a przytem, o ile możności, starał się ulżyć ogólnej biedzie. Łagodność i wyrozumienie jego nie podobało się władzom rosyjskim, postanowiono go tedy usunąć. Decyzyę tę przyspieszył zatarg, jaki powstał między nim a policmajstrem Rubantiewem na tle wybudowania cerkwi w Rzeszowie.

Kierownikiem policyi został przymusowo ustanowiony przez Rosyan inżynier elektrowni miejskiej, p. Lancz. Do dyspozycyi dano mu silny oddział wojska, przy pomocy którego zaprowadził tenże w niedługim czasie ład i porządek w mieście. Ustały rabunki i kradzieże, przyłapanych *in flagranti* żołnierzy rosyjskich karano na sposób rosyjski cieleśnie i to w miejscu publicznem.

Jeszcze na długi czas przed upadkiem Przemyśla Rosyanie kilkakrotnie podawali mieszkańcom przez dobosza miejskiego do wiadomości, iż Przemyśl dostał się w ich ręce. Wiadomości tej jednak nie potwierdziły ani razu urzędowe komunikaty rosyjskie. To też wieść o faktycznym upadku Przemyśla nie znalazła wiary nie tylko już u mieszkańców, ale u oficerów i żołnierzy.

Dopiero, gdy do miasta nadeszły dzienniki, potwierdzające tę wiadomość, zapanowało w mieście silne przygnębienie. Sklepy na znak ogólnej żałoby zamknięto — mieszkańcy zupełnie nie opuszczali swych domów.

Rosyanie natomiast postanowili uroczyście uczcić ten czyn wojenny. Urządzono uroczyste nabożeństwo w cerkwi, na które zaproszono Radę miasta i wszystkich znaczniejszych obywateli; tak Rada miasta, jak i żaden z obywateli nie pojawił się jednak.



Krakowska komisya ewakuacyjna: W biurze ewakuacyjnem. Od prawej ku lewej siedzą członkowie komisyi: Radca dr. Rudolf Sikorski, por. baron Konopka, starszy komisarz policyi dr. Minasowicz, komisarz Włodek.
(Do artykułu na stronie 13).

Wielkie oburzenie w mieście wywołało zamienienie przez Rosyan Sokoła na cerkiew. W brutalny



Warsztaty pracy na obczyźnie: Wystawa prac uczennic (suknie i kostyumy) na kursach handlowo-przemysłowych prof. Wilusza w Wiedniu.

sposób przystąpiono do tego zamachu na polskość miasta. Przedewszystkiem zdarto orła polskiego z cokołu gmachu. Do dziś dnia leżą szczątki porąbanego orła na dziedzińcu sokolim. Wszelkie hasła sokolskie zamalowano i umieszczono prawosławne napisy liturgiczne, jak również z wewnątrz gmachu usunięto wszelkie herby miast polskich, a w miejscach tych widnieją święci rosyjscy, wymalowani niezdarną ręką. Na małej scenie sokolej zbudowano wrota carskie i ołtarz.

W cerkwi tej odprawiano nabożeństwa dla garnizonu rzeszowskiego, jak również na intencyę powodzenia oręża rosyjskiego.

Wreszcie, po długiem, sześciomiesięcznem panowaniu Rosyan przyszło oswobodzenie. Po złamaniu linii obronnej nad Dunajcem i zajęciu Tarnowa, sprzymierzeni w niepowstrzymanym pochodzie zbliżali się ku Rzeszowowi.

Daremnie usiłowali Rosyanie stawić rozpaczliwy opór na wschód od Ropczyc i Sędziszowa. Wszystkie pozycye Rosyan rozpadały się w tysiączne szczątki w piekielnym ogniu artyleryi. Los Rzeszowa był rozstrzygnięty. Zrozumieli również i Rosyanie, że będą musieli miasto opróżnić i zawczasu przygotowali się do tej akcyi. Trzy armie rosyjskie: z Karpat, z pod Tarnowa i dolnego Dunajca w pospiesznym odwrocie cofały się na Rzeszów. W Rzeszowie bowiem krzyżują się drogi strategiczne od Jasła, Tarnowa i Kolbuszowej. Rzeszów stał się więc centrum odwrotu rosyjskiego.

Dnie 9 i 10 maja na długo utkwią w pamięci Rzeszowian. Były to dnie panicznej ucieczki Rosyan.

W przeciągu zaledwie kilku godzin wszystkie ulice miasta zapełniły się tłumami wojsk, trenów i artyleryi. Wszystko to na oślep pędziło ku mostowi na Wisłoku.

Z trzech stron pędziły do miasta szeregi przerażonych mużyków. Wszyscy musieli się zetknąć w jednym punkcie: pod kościołem farnym, u wylotu ulic: Trzeciego Maja, Kościuszki i Grundwaldzkiej. Tu bowiem krzyżują się trzy drogi z południa, zachodu i północy.

Armia karpacka, pędząca od Jasła ulicą Grunwaldzką wbiła się klinem w armię z nad Dunajca, uciekającą ulicą Trzeciego Maja, te zaś dwie przelewały się dalej po armii północnej, posuwającej się ulicą Kościuszki.

Naturalnie — wobec takiego stanu rzeczy, pojazdy, treny i ambulanse szpitalne zatarasowały drogę. Pędzące tłumy przerażonych i ogłupiałych żołnierzy padały w tym zgiełku — tak, że formalnie po ich ciałach przewalały się całe oddziały, nie bacząc na krzyki ratunku i rozpaczy. Pędziły dalej, by niebawem też paść — przez ich ciała bowiem przeleciała, jak huragan, konnica. Zakotłowało się jak w mrowisku.

Rżenie koni, krzyki tratowanych żołnierzy i przeraźliwy huk armat tworzył iście piekielną muzykę.

Wreszcie po dwóch dniach panicznej ucieczki udało się armiom opuścić Rzeszów. W ulicach pozostało mnóstwo trupów potratowanych żołnierzy, wiele broni, armat i wozów.

Nazajutrz, 12 maja wkroczyły do Rzeszowa pierwsze wojska austryackie wraz ze sztabem. Na powitanie oswobodzicieli wyszedł komisarz rządowy pan Jabłoński i w serdecznych słowach przyjął naczelnego komendanta tej armii. Kto tylko żył, wybiegł na spotkanie naszych wojsk. Wśród nieopisanego entuzyazmu, okrzyków i wiwatów kroczyły zwarte szeregi dzielnych wojsk sprzymierzonych. Na rynku rzeszowskim odbyła się defilada wojskowa przed komendantem, sztabem i władzami miejskiemi, poczem wśród bicia dzwonów zdarto z ratusza chorągiew rosyjską, a na jej miejsce wywieszono chorągiew państwową, otoczoną chorągwiami o barwach miasta i narodowych. Po krótkim odpoczynku wojska nasze ruszyły dalej, na ich miejsce przybyły wojska niemieckie pod jenerałem Mackensenem.

Wacław Sperber.



Warsztaty pracy na obczyźnie: Pracownia krawiecka Zawodowych kursów handlowo-przemysłowych w Wiedniu.

EMIL KWAŚNY.

PO CIERNISTEJ DRODZE

Słońce jak krwawnik, jak łuna lic dziewczęcia, powitało cudny dzionek. Wioszczyna mała tonęła w zieleni drzew. Barwiły się bieluchne chaty kolorami astrów, karafiołów, słoneczników, jak tęczą.

„Trzewiczki“ Matki Boskiej, maleńkie przemodrzućkie, kąpały się w promieniach słonka, a były tak cudnie modro błękitne, jak legenda niesie, jak szata Bogarodzicy. Lipy, jak wielkie, dobrze urównane kopy siana, o przebogatych, bujnych i gęstych liściach i złotem kwieciu, siały taką przemiłą woń, że zatęchła, zaprószona pierś wielkomieszczanina wdychała ją tak łakomie, jak ryba, wyrzucona z wody, powietrze. Lipy, twierdza, schronisko dla wróbli, które jak kula karabinowa wpadają w toń, w przepaść gęstych liści i giną w niej z hałaśliwem przekleństwem i wymyślaniem na jastrzębia, co ukazał chęć sporządzenia sobie śniadania z ich jestestwa i to zaraz z rana, prawie, że ze świtem, kiedy one były jeszcze na czczo.

Cierp... cierp... przeklęty jastrząb. O wiele to już łatwiej ze „strachem“ w prosie.

Bo choćta wywija łachmanami jak wiatrak skrzydłami, kurzy fajkę, to przecie słoma wyłazi mu z wnętrza, serce wróbla podrży na chwilę, ale od czegóż oryentacya? znajomość przebiegłości chłopskiej?

Oswoi się prędko z chochołem, pokuma, siędzie mu na głowie, ćwierka wesoło, zagnieździ się w kieszeniach jego obnoszonej garderoby, ćwierka i drwi z ludzkiej mądrości i wynalazków.

Ale ten jastrząb...

O żadnej porze czupurny wróbel nie jest przed szponami tego, jak strzała szybkiego, potępieńca bezpieczny.

Nie miał szczęścia, sprytu, był niezgrabny, „kaciała“, a do tego przeszkadzała mu ciągle w czatach gospodyni, pilnowała królików, które dzięki swym norom cudownie przed inwazyą ocalały. Choroba... z piekła rodem ta gospodyni... jak się wściekne, co się jej bardzo często przytrafia, to wszystko bije i tłucze, a i jemu już także nieraz porządnie kudeł nadarła.

O... już się drze z całego gardła, ledwo świt.

Przywarował ze strachu do ziemi. A baba wrzeszczała jak opętana: „Ty przywłoko jakiś, ty bękarcie, ty znajdo, jeszcze spisz, a krowy ryczą, kiedyż je napasiesz?

Kilka uderzeń po zakarczu... i z sieni wypadł, jak z procy, chłopczyna wątły, blady.

Zanosił się od płaczu, a wąską piersią tak rwał ból i żałość...

Ot dola! baba gorsza jak jastrząb, bo drze paznokciami i bije, poniewiera, a jeść, zlituj się Boże!...

Kromczynę suchego, jak święta ziemia, czarnego chleba, parę kułaków za omastę... i w pole z krówkami...

Tam zjadał kromczynę ze łzami. I nieraz zamyślał się... dumał, czemu on tak smutny, dlaczego jego serduszko tak biedne, dlaczego dzieciskom przed wojną świeciły się „pyzaki“ od masła i skwarków... a jego dola była i jest zawsze taka?...

Dlaczego wstyd go było za łachmany, kiedy inne dzieci pstrzyły się kolorami nowych sukien?

Dlaczego?...

Krówek trzy pasło się na koniczysku, a on leżał i dumał... dlaczego?...

W lecie ta jeszcze pół biedy.

Ciepło... ptaszę zakwili, albo skowronek wzniesie się hen... w chmury, jakby mu chciał pomódz w odszukanin matki, bo mu powiedzieli, że umarła.

Chmury gdzieś płyną... i płyną, jak jego dumanie... ból... łzy...

— — — — — — — — — — —

Ale kiedy nadejdzie chłodna i przenikliwa jesień, mgła jak smutek żre serce, nóżki bose, od zimna czerwone jak raki... to i o kromczynie chleba czarnego zapomina... nie czuje głodu... jeno zimno... dokuczliwe zimno...

— — — — — — — — — — —

Łachmanami wiatr ostry przewiewa, jęczy, skomli, wyje, jak potępione duchy... a on... skulony pod miedzą, za wiatrem, jak zając... drży ze zimna, popłakuje... sierota...

Niema matczynej piersi, coby go przytuliła... ogrzała... jak to widział u piskląt...

Przypędzi krówki do domu, wiedźma ogląda, niezadowolona, bo krówki „łacne“, boki mają zapadłe, bo jesień, niema trawy, ale znowu on winien, znowu po zakarczu... i znowu cicho płyną łzy...

— — — — — — — — — — —

Bał się też dzieci wiejskich, rówieśników, poturały nim i szydziły z oberwańca.

Zato, o ile mógł się wyrwać z domu, krążył koło dworu, bo tam panicze litowali się i prędzej jakiś łakoć albo cacko wpadły w jego chude rączki.

„Mademoiselle“ sprzeczała się zawsze o sierotę we dworze i usiłowała dowieść, że to nie wiejskie dziecko, że oczy pełne wyrazu, przepiękne, że twarzyczka o anielskich wprost rysach, i że ta sierota absolutnie nie jest pochodzenia „chamskiego“

— — — — — — — — — — —

Biorąc łakocie i ciastka z rąk paniczów, nasłuchało się to biedne dziecko od nich cudów, opowiadanych o choince, o światłach, o przepychu, o cieple rodzinnem, które w tym dniu we dworze panują.

Zapamiętało sobie ten dzień.

I kiedy nadszedł, w gorączce oczekiwania zakradło się z wieczora do ogrodu dworskiego i czyhało, aż światła błysną.

I kiedy błysły, zamigotały, jak gwiazdy na niebie, śliczne, jak wtedy, kiedy się wpatrywało w nie, szukając w niebie matki, wdrapało się, krwawiąc rączęta, na okno.

Zobaczyło tam tyle przepychu, ciepła, radości, zabawek, łakoci, tyle światła, cudu... że nie miało siły fizycznej oderwać się od tego boskiego widoku... nieba na ziemi, aż je mróz ściął i na oknie, z głodu szczęścia... skonało.

— — — — — — — — — — —

Zakupiła baba sosnową trumienkę, zaniosła na plecach na cmentarz, kazała pokropić „opętańca“ i przykryć w dole grudą.

Sama, tego samego wieczoru, okutawszy się chustami, z kartką pośmiertną za pazuchą, powlokła się wśród zawiei do wielkiego miasta.

Otrzepała chusty i buty ze śniegu i weszła do wspaniałej willi.

— Jakże się macie, Marcinowo? — przywitała ją elegancka pani, błyszcząc jak tęcza brylantami.

— O rety! psia droga, łaskawa i litościwa pani.

Ledwo, że człek dycha, tak ten wiatr dmie w gębę, ale trzeba mi było samej z tą nowiną do miłościwej pani, nie chciałam listem lub przez posły. Ludzie mają długie ozory.

To rzekłszy, podała „litościwej pani“ kartkę pośmiertną z za pazuchy.

Przeczytawszy, „miłościwa pani“ odetchnęła, jakby młyński kamień spadł jej z piersi lub conajmniej zmora przestała ssać jej krew.

Otwarła kosztowne biurko, wyjęła kilka banknotów i wsunęła je w rękę „choroby z piekła rodem“...

— — — — — — — — — — —

Zapieczętowała babie gębę, a sama nucąc wesołą piosnkę, przywołała pokojową i poleciła się ubrać w balową, prześliczną suknię.

Strojna, błyskotliwa, udała się parą koni, sankami na wieczorek...

List do...

W starym parku cudnie teraz.

W starym parku kwitną purpurowe róże i upojną dyszą wonią; delikatne płatki kwiecia padają cicho na miękki plusz traw. Z rozkwitłych jaśminów i akacyi sypie się deszcz białych kwiatów.

Słodka, odurzająca woń.

Na polach złociste łany zbóż, przetkane purpurą maków polnych i błękitem bławatów, falują za wiatru powiewem, a nad łanami unoszą się tumany złotawych pyłków.

W lesie ścielą się aksamity mchów zielonych, korale dojrzałych jagód, a rozgrzane żarem słońca sosny, pachną żywicą.

Upodobałam sobie w lesie ustroń uroczą: wieniec wyniosłych buków objął malutki stawek. Na brzegu stawu szemrzą oczerety, a kilka kroków w dal — zaciszny jar pełen paproci. Wystrzeliły wysoko nakształt pierzastych wachlarzy, a na ich seledynowym tle błękitnieją oczka niezabudek.

Przychodzę tu często w popołudniowych godzinach i na omszałym siadam głazie.

Na polanach, skąpanych w powodzi słońca, jeszcze żar sieje Południca, chylą się omdlałe liliowe dzwonki i leśne storczyki, tęskniąc za wiatru rzeźwym wiewem, a w mojej ustroni cień i chłód.

Nad sklepieniem liści zawiśnie jasność słoneczna i tylko kilka złocistych smużek prześlizgnie się przez gąszcz i muska pnie drzew, złoci mchy.

Łagodna, słodka melodya płynie po gałęziach drzew — coraz dalej — dalej... Otwierają się przedemną bramy zaczarowanej marzeń krainy. Wejdź ze mną!...

Szumią olbrzymy-dęby uświęcone, płoną ognie święte.

„O Agni, ogniu święty, ogniu oczyszczający. Ty, co w drzewie uśpiony spoczywasz, a świętym płomieniem na ołtarzu ofiarnym rozbłyskasz, tyś sercem ofiar wszelakich, śmiałym pędem modlitwy, tyś boską iskrą we wszechrzeczy ukrytą, promienną duszą słońca“*)

W cieniu dębów snują się Druidzi, Krywe Krywejki, srebrnowłosy Wajdelota w struny harfy trąca, kapłanki w różanych na włosach wianeczkach rzucają na ogień pęki ziół wonnych i mistyczne nucą pieśni. Mrok puszczy przepastnej, myśliwskich rogów gra, wesoły trąbki dźwięk; na białym rumaku młody królewicz pod drzewem staje, pod drzewem dziewczyna — cud... na koń oboje, w zamku złociste podwoje, na gody, na weselne.

Zadumane, senne jezioro, w nenufary strojne.

Pochyl się nad błękitną toń: kryształowe pałace, koralowe ogrody, konchy perłowe, przedziwne wodorosty.

Słyszysz?

Rozkosz, obiecujący śpiew.

To syreny i świtezianki wynurzają się z modrej topieli i wabią w głębinę. Lekkie, powiewne elfy spijają rosę z kwietnych kielichów, tam fauny i satyry zwojami bluszczu oplatają gibkie, smukłe ciała nimf i rusałek, a figlarny Pan przygrywa im do tańca na ulubionej fujarce, wsparte na gałęziach drzew przysłuchują się muzyce urocze Dryady.

Barwne gromadki krasnoludków i gnomów złotymi kilofami uderzają rytmicznie w skały, śniąc o utajonych w ziemi skarbach.

„Otwórz się Sezamie!“

Lśnią szmaragdy, krwawią się rubiny, migocą opale.

Przepych barw i woni, upajający czar.

Słuchaj! Szeherezada tęczową snuje baśń o cichym, szczęsnym zakątku, ukrytym w kwieciu, zieleni, gdzie tylko nas dwoje i miłość i upojenie, gdzie ja dla Ciebie będę ukojeniem, krynicą czystej wody, chłodzącą ból i życia żar, białym kwiatem, jak rosę pijącym Twe łzy, źródłem siły, radości, natchnienia.

Ze smutna dusza moja, nie powiem Ci... Nic, nic nie schmurzy pogody Twojego nieba.

„Umrzej marzenie! byłoby za pięknie, gdybyś Ty żyło!“

Zamknęły się bramy cudnej krainy.

Na Zachodzie rozlało się morze purpury i złota, pnie drzew świecą jak kolumny z rozżarzonego węgla, ale zwolna bledną barwy, na ziemię spływa liliowy zmierzch.

Cisza — zaduma.

O takiej chwili, zda się, Anioł biały chodzi po ziemi i w śnieżne skrzydła zbiera ludzką nędzę, a w duszę sieje posiew ciszy i ukojenia.

Dlaczego, dlaczego tęsknoty mi mojej zabrać nie może?!

W samotni mojej już zupełnie zagasł dzień, a zaczaił się mrok ponury.

Czas do domu!

Żegnaj miły zakątku, żegnaj marzeń chwilo, cichy stawie, omszały głazie.

Powrócę tu jeszcze! Jutro świętojańska noc...

Powrócę — po paproci kwiat.

Nie odstraszą mnie cienie, ni duchy nocy, nie ulęknę się łopotu nietoperzy, ni żałosnego jęku sów, nie odstraszą mnie leśne dziwy, zerwę szczęścia kwiat! — dla Ciebie!

W księżycową, srebrną noc, kiedyto róże tak mocno pachną, przyniosę.

Przyjść??...

Helena Grabikowska, Podhorce.

*) Hymn wedyjski.



Nasi ułani: Przegląd wojsk polskich w Sławkowie przez delegata N. K. N. dra Sokolnickiego

Nasi ułani.

Potomkami dawnych husarzy polskich są dzisiejsi ułani. Tylko miast stalowych zakuć, siwy mundur błyszczy, miast siatki na piersiach, czerwony rabat, miast hełmu żelaznego, lekkie, skórką silną okryte czako zdobi ich głowy. Szablica ciężka przy boku, karabin przez plecy przewieszony, niedbale kożuszek przerzucony — oto nasz ułan. Zuchowate twarze, energiczne, pełne odwagi oczy — znamienny to typ polskiego kawalerzysty. Weźmy naprzykład Beliniaków. Toć to żołnierz-ułan, z wieczną piosnką na ustach, z ręką ustawicznie przy szablicy, by każdej chwili ciąć było można. Widok marsowych tych postaci raduje serca polskie i niejedne usta szepczą: „Tatrzańskie, zaklęte rycerstwo, na bój, na wskrzeszenie Ojczyzny zmartwychwstało!“

I patrzeć będzie przyszłe polskie pokolenie na sylwetki dzisiejszego ułana polskiego, tak jak my patrzymy na średniowiecznych rycerzy lub na ułanów księcia Józefa Poniatowskiego.

Illustracya nasza przedstawia pluton sztabowy kawaleryi przy IV pułku piechoty, z lubianym i szanowanym powszechnie kapitanem piechoty Galicą, w otoczeniu grona oficerskiego. Z lewej strony to Stanisław Zaruski, brat stryjeczny znanego Maryusza Zaruskiego, właściciel Oleska, dawnego majątku Sobieskich. Nieco dalej Juliusz Poźniak, jeden z pierwszych żołnierzy, biorących udział w walkach na ziemiach Królestwa Polskiego. Ostatni to młodziutki kapral Jacek Cekiera, odznaczony po bitwie pod Cecułową. Z prawej strony: Zygmunt Dobrzański, znany architekt lwowski, jeden z restauratorów katedry wawelskiej i Leon Czechowski. Ostatni z prawej strony to Wacław Denhoff, piosenkarz wojenny, autor popularnej piosnki „Hej jadą ułani, po pod górkę!“

Druga illustracya przedstawia przegląd wojsk w Sławkowie przez delegata N. K. N. dr. Sokolnickiego.

Uroczystość Trzeciego Maja w Wiedniu.

I w stolicy naddunajskiej, gdzie obecnie przebywa tylu polskich wychodźców, nie zapomniano o pamiętnym dniu Trzeciego Maja. Celem uczczenia tej rocznicy i zamanifestowania uczuć narodowych, został przez „Ognisko“ do życia powołany Komitet polskiej młodzieży akademickiej, w skład którego weszli delegaci wszystkich organizacyi i Komitetów akademickich polskich, obecnie w Wiedniu istniejących.

Uroczystość odbyła się w dniu 3. maja. Rano o godz. 10 tłumy publiczności wypełniły szczelnie kościół św. Michała, gdzie ks. biskup Wł. Bandurski, po odprawieniu uroczystego nabożeństwa, wygłosił kazanie. O godz. 3. pop. w sali „Neue Wiener Bühne“ odbyła się uroczysta Akademia, zaczęta



Uroczystość Trzeciego Maja w Wiedniu: Organizatorzy uroczystości — Komitet polskiej młodzieży akad.

pieśnią „Boga Rodzico“, odśpiewaną przez chór mięszany pod artystycznem kierownictwem prof. Niewiadomskiego, poczem J. Eksel. dr. St. Głąbiński wypowiedział słowo wstępne. Następne piękne i artystyczne punkta programu stanowiły solo fortepianowe p. Janiny Łusakowskiej, chór, deklamacya p. Bendy oraz „Warszawianka“ St. Wyspiańskiego. Utwór ten, dzięki reżyseryi p. Fr. Frączkowskiego, artysty teatru lwow. i objęciu przez niego roli Chłopickiego, jak również dzięki współudziałowi zna-



Nasi ułani: Grupa plutonu sztabowego kawaleryi przy IV. pułku piechoty z kapitanem Galicą w pośrodku.

nej artystki p. Róży Łuszczkiewiczówny, p. Biegańskiej, p. Bendy, Dąbrowskiego i dobranego zespołu amatorów, został odegrany bez zarzutu.

Cała uroczystość wypadła podniośle i wspaniale, przemieniwszy się w wielką manifestacyę narodową. Wywarła też niezwykle silne i niezatarte wrażenie na wszystkich jej uczestnikach.

Cały dochód, wynoszący K 2.223 h 28, przeznaczono na wychodźców i żołnierzy polskich w barakach w Libnicy i Choceniu.



Po wyparciu nieprzyjaciela: Gmach pięcioklasowej szkoły na Grabówce w Tarnowie, uszkodzony granatem.



Po wyparciu nieprzyjaciela: Budowa drogi w Królestwie Polskiem.

Z wojskowych szpitali krakowskich.

W poprzednich numerach zamieściliśmy cały szereg zdjęć, illustrujących życie i pracę w wojskowych szpitalach krakowskich. W dalszym ciągu tej illustrowanej kroniki szpitalnictwa wojskowego w Krakowie, zamieszczamy w dzisiejszym numerze fotografię, przedstawiającą szpital twierdzy Nr. 2. Oddział IX. dla chorób epidemicznych, który znajduje się w szkole wydz. im. Słowackiego w Podgórzu. Kierownikiem tego szpitala był przez kilka miesięcy dr. Stanisław Wilczyński, który troskliwie opiekował się chorymi, to też po jego odejściu bardzo go żałowano. Następcą jego został mianowany dr. Bolesław Łazowski, Krakowianin, który z zaparciem się siebie poświęca dni i noce opiece chorych. Dzielnie pomagają mu w tej pracy słuchacz medycyny A. Lefeld i pielęgniarki, p. Felicya Halberstadt i p. Michalina Frudzińska, które z prawdziwem poświęceniem czuwają nad ciężko chorymi i uprzyjemniają im chwile czytaniem dzienników i książek. Nic też dziwnego, że chorzy, mając tak sumienną i troskliwą opiekę, przychodzą w krótkim czasie do zdrowia, zachowując w sercu głęboką wdzięczność tak dla lekarzy, jak i personalu sanitarnego.

Po wyparciu nieprzyjaciela.

Gwałtowna ofenzywa wojsk sprzymierzonych wyswobodziła już znaczną część Galicyi, gdzie zaczyna wracać normalne życie. Pozostały tylko ślady tych tytanicznych walk, jakie toczyły się przy wypieraniu wroga.

W dzisiejszym numerze zamieszczamy szereg dalszych zdjęć z oswobodzonego kraju, dających dokładne pojęcie o rozmiarach walk, jakich widownią była Galicya.

Jak już pisaliśmy poprzednio, największe walki toczyły się koło Gorlic i koło Tarnowa, który znacznie ucierpiał od ognia artyleryjskiego.

O zniszczeniu daje już pojęcie ostatnia stacya przed Tarnowem — Bogumiłowice. Budynek stacyjny w ruinie, ściana frontowa trzyma się jako tako, zato tylna i boczne podziurawione, jak sito. Jeden z granatów trafił w róg i ściął go równiutko, jakby dom był z papieru. Wnętrze budynku wypełnione jest rumowiskiem, rozbitemi dachówkami i szkłem z szyb.



Z wojskowych szpitali krakowskich: Personal szpitala Nr. 2 (dla chorób epidemicznych) w Podgórzu.



Po wyparciu nieprzyjaciela: Gmach klasztoru S. S. Sercanek na górze Zbylitowskiej pod Tarnowem, zburzony pociskiem moździerza.

Gdy się dojeżdża do Tarnowa, dziury w ziemi, wyrwane pociskami, znaczą ślady „rozmowy" bateryi.

Podwójny most kolejowy na Dunajcu został gruntownie przez uciekających Rosyan zniszczony. Jakby jakaś nadludzka siła rozkruszyła cztery olbrzymie slupy mostu na drobne kawałki. Jedna z linii kolei po drugiej stronie wraz z całem wiązaniem wpadła do rzeki, druga wisiała w powietrzu.

Na gruzach słupów wystawili pionierzy prześliczne rusztowanie drewniane, zadziwiające prostotą swą i siłą, po którem przejeżdżają obecnie pociągi.

Przy wjeździe do samego Tarnowa rzuca się



Po wyparciu nieprzyjaciela: Zburzony gmach szkoły realnej w Tarnowie (od strony dziedzińca).



Po wyparciu nieprzyjaciela: Rosyjskie rowy strzeleckie.





Oddział piechoty tureckiej. **Z teatru wojny:** Psy wojskowe w forcie włoskim.



Nowy wróg: Zabawa żołnierzy włoskich.



„Krakowskie dzieci" na obczyźnie: Grupa w Nowym Jiczynie.

przedewszystkiem zniszczenie na pięknym dworcu tarnowskim, który sprawia wrażenie opuszczonej szopy. Niema w nim ani jednej szyby, ani drzwi, ani futryn okiennych, a dach porozrywany w kilkunastu miejscach. Największemu zniszczeniu uległa część od strony Krakowa, to jest budynek poczty, poczekalnia II. i III. klasy, wychód, kasy biletowe, sala restauracyjna, gdzie nie ocalał ani jeden sprzęt.

Ściany budynku stosunkowo wiele nie ucierpiały, choć noszą na sobie ślady kul wszystkich kalibrów. Karabinowe poprzebijały je w licznych miejscach. Na drugim peronie więcej śladów kul armatnich. Jedna na przykład padła koło wejścia do tunelu i zatarasowała go odłamkami z płyt betonowych i słupów żelaznych.

Obecnie budynek stacyjny już odczyszczono, a linie doprowadzono już do zupełnego porządku.



Ze świata muzycznego: Śpiewaczka Helena Łowczyńska.

W samem mieście są również ślady bombardowania, choć, jak to już zaznaczyliśmy w poprzednich artykułach, Tarnów, który był ostrzeliwany przez kilka miesięcy, stosunkowo mało ucierpiał, artylerya bowiem austryacka brała za cel tylko objekty wojskowe i tam kierowała ogień. Między innemi trafione zostały: żeńska szkoła im Słowackiego, szkoła realna, miejski bank zastawniczy na placu Kazimierza Wielkiego, fabryka cykoryi, dawna huta oraz kilkanaście kamienic prywatnych. Trzy z nich trafione zostały jednym pociskiem „Berty", od odłamków którego zwaliła się część nowej dwupiętrowej kamienicy, część górna przyległego domu i sąsiedni dom pod l. 19 przy ul. Wałowej ma kilka dziur w ścianach, a nadto w pobliżu, t. j. w gimnazyum, Kasie Oszczędności, w kościele X. X. Filipinów, w seminaryum duchownem i w dalszym promieniu wyleciały wszystkie szyby.

Przy tych małych stosunkowo stratach materyalnych, skutkiem umiejętnego ostrzeliwania miasta i ofiary w ludziach były bardzo nieznaczne. Kilka zaledwie osób odniosło lekkie obrażenia, natomiast wśród wojska rosyjskiego liczba zabitych i ciężko rannych w Tarnowie dochodzi do 500.

Doliczyć tu należy jeszcze liczne straty Rosyan w ludziach, jakie ponieśli na górze Zbylitowskiej. Tam pocisk „grubej Berty" rozbił im sztabową kwaterę i pozbawił życia wielu oficerów i żołnierzy.

„Krakowskie dzieci" na obczyźnie.

Srogie koleje toczącej się wojny pociągnęły i nasz podwawelski gród do złożenia podatku krwi na ołtarzu dobra monarchii. W kampanii obecnej wybitną i zaszczytną rolę odegrał krakowski 13 p. p., który, jak wiadomo, wyróżnił się bohaterstwem i zdobył zaszczytne uznanie na polach Kraśnika i Lublina.

Obecnie jak wiadomo skutkiem powołania do służby najmłodszego rocznika z roku 1916 stanął w szeregach liczny zastęp młodzieży 18-letniej, których część, posiadająca warunki do służby jednorocznej, zgłosiła się do służby przy tym pułku, którego uzupełniająca komenda znajduje się obecnie w Nowym Jiczynie.

Rycina nasza przedstawia grupę młodzieży jednorocznych ochotników 13 p. p., którzy po zdaniu przedterminowem egzaminu dojrzałości rozpoczęli przed miesiącem służbę wojskową. Są to nasze najmłodsze „krakowskie dzieci", ku którym z tęsknotą i niepokojem biegnie myśl ich najbliższych.

Ze świata muzycznego.

Wśród artystów śpiewaków, występujących obecnie gościnnie w Krakowie, jedno z pierwszych miejsc zajmuje wysoce utalentowana śpiewaczka operowa, p. Helena Łowczyńska. W ostatnich czasach publiczność nasza miała możność bliższego zapoznania się z pięknym jej głosem w paru przedstawieniach „Halki“ i w szeregu poranków muzycznych, urządzanych w teatrze „Uciecha“. Śpiew p. Łowczyńskiej, łączący w sobie pełnię wyrazu i siły dramatycznej obok rzewnego liryzmu zdobył szczere uznanie naszej krytyki i sympatyę publiczności, która każdy występ artystki darzy burzą oklasków. Młodą śpiewaczkę, od lat kilku występującą na scenie, czeka niewątpliwie świetna przyszłość, czego jej jako rodaczce naszej i Krakowiance, szczerze życzymy.



Po wyparciu nieprzyjaciela: Gmach szkoły realnej w Tarnowie, uszkodzony pociskiem.

Jedyna polska szkoła na Węgrzech.

Część uchodźców galicyjskich, chroniąc się przed najazdem wroga, osiadła na ziemi węgierskiej, rozrzucona w mniejszej lub większej liczbie po różnych miejscowościach. Między innemi znalazło się w miasteczku Körmend nad rzeką Raab, sporo naszych tułaczy, przeważnie z Galicyi wschodniej, którzy pędzą tu żywot wcale nie do pozazdroszczenia, gdyż władze węgierskie niezbyt życzliwie patrzą na galicyjskich przybyszów i bardzo byłyby rade, gdyby udało się ich pozbyć.



Jedyna polska szkoła na Węgrzech: Personal nauczycielski i dzieci polskiej szkoły w Körmend.

Już w kwietniu b. r. wydalono stamtąd wielu uchodźców. którzy przenieśli się do austryackich prowincyi. Dzięki tylko zabiegom „Komitetu dla wychodźców na Węgrzech“, założonego przez prof. Zygmunta Tureckiego z Tarnopola i energicznie przez niego kierowanego, pozwolono na wyjątkowe pozostanie i to do pewnego czasu tym, którzy mają się z czego utrzymać i nie mogą być ciężarem ani dla kraju, ani też gminy.

Profesor Turecki rozwinął tutaj nadzwyczaj gorliwe starania, aby, o ile się tylko da, polepszyć byt tych niedobrowolnych wygnańców, przedewszystkiem więc zajął się założeniem szkoły dla ich dzieci, co także napotkało na wiele przeszkód, które trzeba było przezwyciężyć, władze węgierskie nie chciały bowiem dać na to swego pozwolenia, obawiając się, by galicyjscy przybysze nie osiedlili się tu na stałe.

Ostatecznie po długich kołataniach w różne strony udało się przekonać miarodajne czynniki, iż założenie polskiej szkoły w Körmend nikomu szkody nie wyrządzi, głównym zaś argumentem, który potrafił dopomódz w przeprowadzeniu do skutku przedsięwzięcia, było oświadczenie Komitetu, iż szkoła ta zrobi dobrze nie tylko rodzinom wychodźców, ale i miejscowej ludności, bo zajęte nauką dzieci nie będą psocić w ogrodach, na ulicach i placach publicznych.

I to ich ostatecznie przekonało!

W grudniu ubiegłego roku założono więc szkołę, której kierownictwo objął niestrudzony profesor Turecki, dopomagają mu zaś w pracy córki Zofia, ukończona słuchaczka filozofii i Maryla, żona inżyniera Maja z Sambora, kwalifikowana nauczycielka. Katechetą jest ks. Józef Marcinkiewicz z Brodów, pełniący dla tamtejszej polskiej kolonii obowiązki duszpasterskie. Pozatem należą do grona nauczycielskiego: p. Izabella Gackówna z Łupkowa, p. Marya Siechowska, siostra kierownika, nauczycielka z Maksymówki, profesor Teofil Kling z gimnazyum samborskiego i Kazimierz Lisikiewicz, kierownik szkoły z Horożanki, prowadzący obecnie szkółkę w sąsiedniej miejscowości Strem, gdzie mieszka kilkanaście rodzin wychodźczych.

Szkoła mieści się w dwu salach, użyczonych łaskawie przez miejscowego łacińskiego proboszcza, obejmuje zaś cztery klasy ludowe i dwie klasy realnego gimnazyum, prowadzonego systemem koedukacyjnym. Wszystkiej młodzieży było początkowo ponad sześćdziesiąt, dziś cyfra ta spadła do czterdziestu ośmiu.

Rada Szkolna krajowa otacza tę jedyną szkołę polską na ziemi węgierskiej swoją opieką, przysłała też księdza katechetę i nauczyciela, aby umożliwić należyty postęp nauki w każdej klasie.

Obok szkoły polskiej w Körmend powstał także zabiegami prof. Tareckiego „Komitet dla wychodźców na Węgrzech“, który między innemi miał za zadanie zakładanie szkółek polskich dla tych tysięcy Polaków, rozrzuconych na całym obszarze Węgier.

Widać z tego, w jak trudnych i ciężkich warunkach pracować musi kierownik szkoły polskiej w Körmend, a w jednej osobie zarazem i prezes Komitetu. Gdyby nie miał ducha organizatorskiego i żelaznej wytrwałości w zwalczaniu przeszkód, jakie napotykał na każdym kroku, a w swej najbliższej rodzinie tylu sił nauczycielskich, toby i w Körmend ani szkoły ani „Komitetu“ nie było.



Nowy wróg: Włoscy żołnierze w szańcach.

Marya S...

Co było...

Dużymi, gęstymi płatami padał śnieg, pokrywając ziemię, jakby białym, puszystym kobiercem.

Z wesołym uśmiechem na miłych twarzyczkach, rozmawiając półgłosem, szły szybkim krokiem, wśród mroków wczesnego wieczora, dwa podlotki.

Z wielką ochotą, zamiast wracać, brodziłyby w skrzącym w blasku latarń śniegu, gdyby nie obawa bury za późny powrót.

Prawie biegnąc, spuszczały się w dół ulicą i na pierwszym zakręcie wpadły z impetem na kogoś, również szybko zdążającego w przeciwną stronę. Słowem „pardon“ przepraszając, obrzucił zgrabne sylwetki dziewcząt wzrokiem i zatrzymał spojrzenie na drobnej twarzy młodszej.

Pod siłą tego spojrzenia powieki dziewczęcia podniosły się na jedną sekundę, zatrzymały na twarzy chłopca i znowu opadły.

Trwało to jedną chwilę, lecz on stanął olśniony.

— Co za oczy... co za oczy... — szeptał.

Ciemne postacie dziewcząt zniknęły dawno, a on stał wciąż nieporuszony, wciąż jeszcze mając przed oczyma pociągłą twarzyczkę i te duże, cudne oczy.

Mimowoli podążył w stronę, gdzie zniknęły nieznajome.

Wśród coraz gęstszego śniegu błądził długo, lecz daremnie.

Wreszcie zniechęcony wrócił.

Minęło parę tygodni.

W promieniach słońca skrzył się, pod nogami skrzypiał zmarznięty śnieg.

W powietrzu unosiły się błyszczące, srebrne igiełki.

Ani na mróz, ani na przechodniów nie zważając, stała gromadka ósmaków, rozprawiając żywo.

Wtem jeden z nich, wysmukły brunet w długim płaszczu, przerwawszy zdanie dopiero co zaczęte, utkwił wzrok w przechodzącej obok panience.

Ona oblała się ponsem, czuła drżenie nóg, przyspieszone bicie serca.

Po tylu dniach, gdy już straciła nadzieję, znowu ujrzała go.

Pamiętała jeszcze tamto spojrzenie, starała się otrząsnąć z wrażenia, jakie wywarły na nią te dwie palące źrenice.

Nie mogła.

Dwoje cudnych... czarnych oczu prześladowało ją wciąż.

W snach roiła o nich.

Marzyła wciąż o nich.

Znowu ujrzała go, tego czarodzieja, który zjawiwszy się w ciemnościach wieczoru, zniknął z jej oczu.

Lecz oczekiwała go.

Mijał dzień za dniem, nadzieja malała, obraz jego zacierał się.

Często, załamując białe, kształtne, o długich palcach ręce, myślała, że go już więcej nie zobaczy, że całe życie będzie nieszczęśliwą.

Przedstawiała siebie to w habicie zakonnym, to w welonie w trumnie, słyszała śpiewy księży, które ją zawsze napełniały trwogą.

Słyszała płacz krewnych i szepty koleżanek, że umarła z rozpaczy, że kochała nieszczęśliwie.

Tyle czytała o nieszczęśliwej miłości.

Tyle łez wylała nad losem bohaterek z romansów, pożyczanych i czytanych pokryjomu.

Teraz, wróciwszy do domu, była uszczęśliwiona.

Przecież widziała go, on ją poznał.

Tak patrzył się... tak patrzył...

Może i on tęsknił.

Wtem, co to?

Czy ją wzrok myli? Ależ nie, to on, on... stoi tam.

O, jak jej serce bije.

Drżąc z radości, przypadła do okna.

A on... jakby widząc tę radość i dziękując za nią, z uśmiechem zdejmując czapkę, skłonił nizko głowę. A gdy podniósł... oczy... te ukochane, aksamitne oczy, mówiły o tęsknocie długich, zimowych wieczorów...

Te cudne oczy... prosiły o coś... błagały ją...

Wtem w pokoiku zadzwonił srebrzysty śmiech i słowa: „a gratuluję“. Z przerażeniem odwróciła Bolesława swą kształtną główkę, lecz, ujrzawszy przyjaciółkę, trochę zmieszana spuściła głowę.

Gdy znowu spojrzała w okno, jego nie było.

Znikł.

Przybyła pogroziła jej palcem.

— Ślicznie! To gdy się ma nowego chłopca, robi się tajemnice. I to przed kim? Przedemną? Ależ, Sławo, żeś nim zajęta, widziałam rano. Nie rób zdziwionej miny. Któżby nie zauważył tych „blików“. Gdybym była wiedziała, że przyszedł, byłabym nie przeszkadzała.. Nie kręć głową, przecież wolałabyś, żeby on tam stał, aniżeli ja tu. Przyszłam po książkę. O! pokaż tę, czyja? Brzozowskiego? Dobrze, daj! A teraz pa...

— Marz o tym czarodzieju — dodała, odchodząc — Ja wolę czytać. Studenci znudzili mi się. Zbyt podobni do siebie. Pa!

Od tego czasu nie śniła śliczna Bolka o habicie lub trumnie, nikt nie widział jej z zapłakanemi oczami.

Zmianę spostrzegły tylko książki i Ewa.

Gdzież mogła się uczyć, gdy codziennie o zmroku zjawiał się „ukochany“. A godziny wlekły się tak powoli.

Słońce tak długo świeciło.

Gdy zmrok zapadł, z zapartym oddechem stawała w oknie, jakby pod suggestyą, wpatrzona w ciemną postać.

Codziennie widziała go.

Codziennie.

Lecz raz nie zjawił się.

Daremnie oczekiwała.

Minął dzień, drugi, trzeci, minął jeden tydzień... drugi... Nie przychodził.

Odurzająca woń konwalii napełniała jej pokój, rozmarzając i odurzając i tak już marzycielską Bolesławę.

Czerwiec dobiegał końca.

Wiosna w całej pełni, mnóstwo kwiatów, budziło w sercu dziewczęcia pragnienia miłości, tak gorącej, tak silnej, o jakiej czytała w książkach.

A on nie przychodzi.

Może zapomniał?

Na myśl o tem, budził się w jej sercu głuchy gniew.

Tak prędko?

Kocha inną, pod innej oknami przepędza wieczory, może z „tą inną“ rozmawia w tej chwili, może całuje?

I znowu zazdrość panowała w jej sercu.

Zazdrość i chęć zemsty.

Stawała przed lustrem, brzydką nie jest.

Tak ładnie od jej ciemnych kędziorów odbija bladoróżowa cera.

Cóż z tego gdy on kocha inną.

Z płaczem rzucała się na sofkę.

Czyżby kochała prawdziwie?

Chcąc zapomnieć, całemi godzinami siedziała nad książkami. Lecz daremnie.

Zza kartek wychylały się cudne, czarne oczy.

Ciągłe wyczekiwanie doprowadziło jej nerwy do takiego napięcia, że najmniejsze sprzeciwienie rozdrażniało ją.

W obejściu stała się szorstką, nieznośną.

Temsamem stosunki z Ewą oziębły.

To zdenerwowanie zwróciło uwagę rodziny i po naradzie miała wyjechać w góry z ciotką, młodą wdową.

Spodziewano się, że Bolka na wieść o wyjeździe w góry, wybuchnie szaloną radością. (Wiedziano, że to było jej marzeniem od dwu lat).

Tymczasem usłyszano odpowiedź: „dobrze“.

Wiadomość przyjęła obojętnie. Cóż ją obchodziły wycieczki górskie, wspaniałe widoki?

Niech robią, co chcą, z nią. Jej wszystko jedno, gdzie spędzi wakacye, gdy Kazik o niej zapomniał...

— — — — — — — — — — —

Przy otwartem oknie siedzi Bolka.

Z irytacyą przechadza się tam i napowrót Jurek.

Co to ma znaczyć, że ani nie raczy spojrzeć? Co czyta ciekawego?

Gniew i obrażona ambicya wzmagają się.

Tymczasem Bolka z oczyma błyszczącemi radością trzyma w drżącej ręce blado lila papier.

List od Kazika.

Jakżeż biło jej serce, gdy czytała te wyznania miłości, prośby o przebaczenie, tę opowieść o tęsknocie, o różanym świecie, który przypominał mu „ją“ ukochaną, uwielbianą Bolkę, a który tak często zastawał ją nad książką... i znowu błagania o przebaczenie za śmiałość wyznania tego, co czuł oddawna, od pierwszego spojrzenia...

Jako student nie śmiał tego uczynić.

Teraz jednak, gdy zdał maturę, uczynił to wyznanie miłości i uwielbienia, bo dłużej niepewności znosić nie może.

Więc tak, czy nie?...

Bolkę list wyprowadził z równowagi. Mimo lat szesnastu skakała z radości, a Ewie, która weszła do pokoju, rzuciła się na szyję i mimo, że „on“ prosił o dyskrecyę, dała list przyjaciółce.

— Ładny styl i zwroty, musi być wykształcony, co się rzadko zdarza u studentów, zajętych sportami lub pannami — rzekła Ewa po przeczytaniu.

I pomyślała: o ile nie odpisał z książki, oni to umieją?

Sama ma list od studenta, wiernie odpisany z tłumaczenia francuskiego, które w tydzień później pożyczył jej.

Był na tyle naiwny, że myślał, że ona nie przypomni sobie tych zwrotów, wyrażeń, porównań.

W tydzień później rozpoczęła się idylla.

Trwała niedługo, lecz pozostawiła miłe wspomnienia, tak Kazkowi, jak obu podlotkom.

Były to pierwsze rendez-vous.

Zakochanym towarzyszyła zawsze Ewa. Urządzano wycieczki za miasto, gdy była pogoda ładna, w pochmurne dni do parku.

Bolka rozczarowała się trochę.

Ten, który tak cudnie przemawiał oczami, tak wzniośle pisał, w rozmowie był poważnym, często wprost nudził.

Kilka razy wyrywały mu się wyrazy studenckie, które raziły tak Bolkę, jak Ewę.

Zato szybko zbierał i ładnie układał bukiety z polnych maków, ulubieńców Bolki.

Rozmowy ich rzadko schodziły na tory tak częste w rozmowie ze studentami t. j. na temat miłości.

Również nie celował w prawieniu komplementów, mówił je rzadko i niezgrabnie.

Bolka, pierwszy raz będąc w tem położeniu, była zmieszana, jedynie Ewa podtrzymywała rozmowę.

Rozmawiali więc z sobą spojrzeniami, w ten sposób wyznawali całą swoją miłość, tęsknotę, nadzieje.

Kazimierz, idąc obok Bolki, nie spuszczał z niej oczu, uwielbiał ją, uwielbiał to dziewczę o szarych, jedwabistych kędziorach i głębiach ócz nieokreślonego koloru wodnej toni.

Uwielbiał jej usta ponsowe, jakby do pocałunków stworzone, jej słodki dźwięczny głosik, srebrzysty śmiech.

Uwielbiał jej postać wysmukłą, wiotką, postać leśnej boginki.

Często, błąkając się, natrafiali na strumyk i grupę drzew. Lekko, zwinnie siadała Bolka na gałęziach i wpatrywała się w te czarne uwielbiane oczy, upajając się jego spojrzeniem.

Ewa nudziła się.

Rzucając w trawę kapelusz, ubrany rumiankami, oddalała się.

Lubiała zapuszczać się w gąszcze, brodzić po moczarach, a znalazłszy jakieś niedostępne miejsce, usiąść i marzyć...

Marzenia jej były dziwne i niezrozumiałe, jak i jej usposobienie i wygląd.

Jej czarne brwi dziwny tworzyły kontrast z jasnymi włosami, krótko uciętymi, zaczesanymi po męsku.

Duże, bronzowe, okolone długiemi, czarnemi rzęsami oczy, marzycielsko smętne, zawsze spoglądające w dal, ozdabiały twarz nieładną, o anemicznej cerze i bladych ustach, lecz sympatyczną, pociągającą.

Nizkiego wzrostu, szczupła, o małych rączkach i nóżkach, sprawiała wrażenie dziecka, szczególniej, gdy się uśmiechała.

Mając lat 17, wyglądała na 18.

Lecz, gdy marszcząc czarne łuki brwi, dumnem spojrzeniem obrzuciła śmiałka, cofał się zdumiony.

Często wśród najweselszej rozmowy milkła, smutniała, zadumanie osiadało na jej bladej twarzy, oczy błądziły gdzieś w dali.

Była na swój wiek za poważna.

Marzenia jej były odmienne od marzeń jej rówieśniczek.

Miłość, to łup, który porywa i unosi, szybko, niesłychanie szybko w najcichszy kąt świata — miłość, to milczenie, gdzie milczeć trzeba, to krzyk, gdzie trzeba krzyku, to sztylet, gdzie trzeba uderzyć stalą, to śmierć, jeżeli umrzeć trzeba... miłość, to droga najbliższa do celu, najkrótsza, najlepsza... dla której poświęca się wszystko, wszystko i siebie, siebie samą, przedewszystkiem siebie samą.

O takiej miłości marzyła.

Nie oczekiwała niewolnika, któryby leżał u jej stóp, ni pazia, całującego kraj jej szaty, lecz rycerza świetnego, pana wyniosłego, któryby płomieniem swojej miłości stopił jej obojętność, przełamał dumę.

To znowu marzyła o sławie, widziała spojrzenia wszystkich, zwrócone ku niej z podziwem i uwielbieniem, słyszała swe imię na wszystkich ustach.

Często, słysząc o nędzy, zagryzała usta do krwi, w bezsilnej niemocy.

Nienawidziła pieniądz, który jest wszechwładnym panem.

(Dokończenie nastąpi)

Warsztaty pracy na obczyźnie.

Z inicyatywy prof. Adama Wilusza powstały we Wiedniu przed kilku miesiącami zawodowe kursa handlowo-przemysłowe, na których ukończyło obecnie studya przeszło 12.0 uczenic. (Przeważnie nauczycielstwo!) Program kursów obejmował: krawieczyznę, krój i szycie białej bielizny, modniarstwo, koronkarstwo, fryzyerstwo, wyrób artyst. sztucznych kwiatów, ogrodnictwo, gospodarstwo wiejskie i domowe, gotowanie, rysunki i malarstwo, buchalteryę, stenografię i pismo na maszynie, rachunkowość państwową, obce języki.

Nauka odbywała się w 25 lokalach szkolnych, a 49 oddziałach. Wystawa prac uczenic, którą odwiedziło kilka tysięcy osób, odbiła się słowami żywego uznania i podziwu w prasie wiedeńskiej i w kołach fachowych. Myśl, rzucona przez organizatora kursów, zmierzająca do odrodzenia naszego przemysłu krajowego, znalazła oddźwięk i w innych środowiskach wychodźczych, jak w Bernie i Salzburgu, gdzie, kierując się faktyczną potrzebą realnej pracy, utworzono w ostatnim czasie kursa zawodowe na wzór kursów prof. Wilusza. Zamieszczone w dzisiejszym numerze illustracye przedstawiają jedną z sal wystawowych, oraz wnętrze pracowni krawieckiej.



Nowy wróg: Menaż w wojsku włoskiem.

Chorzy i ranni Legioniści na Węgrzech.

Legioniści II. i III. pułku, walcząc na Węgrzech, przeszli parę razy Karpaty, a wkońcu całą Bukowinę, zdobyli sobie najwyższe uznanie komendy armii, oraz reputacyę najlepszego żołnierza, lecz trudy poniesione w ciężkich walkach i warunkach atmosferycznych wyczerpały siły u wielu młodych i mniej odpornych żołnierzy, którzy musieli opuścić walczące szeregi, aby poratować swe nadwątlone siły do dalszej walki i przebywają obecnie w wielu węgierskich lecznicach i szpitalach, a między innemi i w Koloszwarze.

Koloszwar jest to ładne i słoneczne miasto Siedmiogrodu, otoczone sadami owocowemi i winnicami, zdala od grozy i zgiełku wojny, spokojne i ciche, jakby umyślnie stworzone na lecznicę, a przytem posiadające liczne kliniki i szpitale. Mieści też w swych zakładach pokaźną liczbę chorych i rannych żołnierzy, między którymi jest kilkunastu naszych Legionistów. I na obczyźnie nie zapominają oni o Polsce, czego dowodem obchód sto dwudziestej rocznicy bitwy Racławickiej, urządzony przez chorych Legionistów oraz kilku żołnierzy 13 pułku piechoty w Instytucie Pasteura dnia 20 maja b. r.

W udzielonej życzliwie przez zarząd szpitala sali wykładowej Instytutu, udekorowanej pięknym portretem Tadeusza Kościuszki, wykonanym przez Legionistę Władysława Durka, ucznia Krakowskiej Akademii sztuk pięknych, zebrała się gromadka kuracyuszów zakładu oraz zaproszonych kolegów z innych szpitali i klinik, aby uczcić rocznicę i złożyć hołd Kościuszce.

Program uroczystości rozpoczęto odśpiewaniem hymnu „Boże coś Polskę“ przez ogół zebranych, następnie Legionista St. B. z III. pułku (byłej kompanii szwajcarskiej) wygłosił przeszło godzinny odczyt historyczny o walkach niepodległościowych w Polsce, po nim Legionista Z. Jasiński z Krakowa oddeklamował Lenartowicza „Bitwę Racławicką“, a na zakończenie wszyscy zebrani zaśpiewali pieśń Legionów „Jeszcze Polska nie zginęła“ oraz kilka pieśni narodowych.

Cała uroczystość spotkała się tutaj z wielkiem uznaniem zarządu szpitala i lekarzy.





Rynek w Dębicy. **Z oswobodzonej Galicyi:** Fragment Rynku w Sędziszowie. (Fot W. Sperber).



Z teatru wojny: Mieszkańcy wsi serbskiej, ukryci w grocie, obserwują przebieg bitwy.

Krakowska komisya ewakuacyjna.

Celem przygotowania ewakuacyi na wypadek ewentualnego oblężenia lub choćby tylko cernowania twierdzy, utworzono specyalną komisyę, mającą zająć się tą sprawą. Z ramienia wojskowości stanął na jej czele początkowo jenerał-major Zaleski, po nim objął agendy pułkownik Zawadil, obecnie przewodniczy jej major Veltzé. W biurze zajętych jest kilkunastu oficerów, i cały szereg urzędników magistratu, zostających pod kierownictwem starszego radcy dra Rudolfa Sikorskiego. Delegatem c. k. policyi jest starszy komisarz, dr. Józef Minasowicz.

Prace komisyi są już na ukończeniu, wydawanie legitymacyi, uprawniających do pozostania w twierdzy i odznak metalowych rozpoczęto od kilku dni.

Kronika tygodniowa.

Tak więc maj się już skończył, przynajmniej według kalendarza gregoryańskiego, wojna natomiast nie, co zresztą było do przewidzenia, ze względu na znaczenie, jakie ma w potocznej mowie krakowskiej wyrażenie: „w maju“. Nie spełniły się więc ani moje przepowiednie, ani pani de Thébes, nie mówiąc już o innych mniej wartościowych!

Ponieważ w maju nie miałem czasu na zajmowanie się sprawami majowemi, gdyż sytuacya wymagała, by poruszać ciągle kwestye, mające związek z polityką, a będące aktualnemi, dziś, w czerwcu, zrobię krótki przegląd spraw majowych i złożę sprawozdanie, w jaki sposób spędziłem Zielone Święta.

Wogóle maj był dość jeszcze znośny, obliczyłem bowiem, że na trzydzieści jeden dni tylko szesnaście było zimnych albo słotnych, w pozostałe piętnaście pociliśmy się natomiast i prosili niebiosa o chłód, albo nawet i deszcz, zwłaszcza, że na ulicach unosiły się tumany kurzu, co w każdym razie nie jest rzeczą zbyt przyjemną.

Jasno więc z tego wynika, że przeciętnemu Krakowianinowi nie dogodzi nigdy. Jeśli pogoda, on chce deszczu, gdy leje, stęka, że słońce nie świeci. O peryodyczne deszcze postarał się w drodze urzędowej magistrat ze względu na oszczędności, zaprowadzone w budżecie Zakładu czyszczenia miasta i uwagi, robione w wozach kolei elektrycznej, gdzie podróżni do dziesięciu przykazań hygienicznych pana fizyka dopisywali stale: „Skrapiaj ulice!“

Ale krop tu Krakowianom! Jeśli ulica sucha, narzekają, że kurz, niech tylko w sposób sztuczny lub naturalny będzie zwilżoną, twierdzą, że błoto...

Także i Zakład wodociągowy kołatał o deszcz, bojąc się, by na Bielanach nie brakło wody.

Dzięki Bogu przynajmniej, że na Zielone Święta mieliśmy pogodę i to taką, w całem tego słowa znaczeniu. Można się było obejść bez paltota, kaloszy i parasola, czemu dając wyraz, przez oba dni paradowałem z laską, niestety wycieczki na Bielany, jak tradycya każe, nie zrobiłem, bojąc się, by mnie nie uważano za mającego ochotę dobrowolnie się wyewakuować z twierdzy.

Objiałem się więc po plantacyach, Błoniach, zwiedziłem gminy przyłączone do Krakowa i skonstatowałem wszędzie z zadowoleniem, że wiosna w całej pełni. Zielono nawet na trotoarach, zwłaszcza tam, gdzie mieszkańcy wypędzają młode gąski na ulicę. Mogą sobie na to chyba pozwolić, zwłaszcza że nawet w ulicy Stolarskiej, więc w samem centrum miasta, spacerują sobie najspokojniej kurki czubate i bez czubków. Nadaje to miastu wygląd bardzo idylliczny.

Onegdaj, przechodząc tamtędy, naliczyłem tych sympatycznych ptaków aż cztery. Jedna kurka zajęta była czytaniem ogłoszenia z taryfą maksymalną, zapewne w tym celu, by się przekonać, w jakiej cenie są jaja i była na tyle niegrzeczną, że mi się nie chciała ustąpić z drogi.

Nie biorę jej przecież tego za złe, to już zwyczaj krakowski, że właśnie w tych miejscach, gdzie chodniki są najwęższe, publiczność lubi się zatrzymywać i w ten sposób tamować ruch. Jeśli zaś wolno ludziom, ciekawy jestem, dlaczego nie miałaby sobie pozwolić na to miła kurka, która znosi jaja na pożytek bliźnim, zasługuje więc ze względu na to na specyalne uwzględnienie.

Większość Krakowian, między nimi i moja rodzina, wybrała się w Zielone Święta na Panieńskie Skały. Żona przypomina sobie w ten sposób swe młode lata i przyjemne chwile, jakie tam ongi spędziła, córki, które odziedziczyły po mnie zdolności poetyckie, twierdzą, że tego rodzaju wycieczka wpływa bardzo dodatnio na podniecenie wieszczej twórczości. Co się mnie tyczy, zgodziłbym się na to, pod warunkiem przecież, gdyby tam urządzono filię Wentzla lub Hawełki, o co powinna się postarać spółka, mająca rozparcelować Wolę Justowską.

Zakończyłem miesiąc maj bardzo przykładnie, na łonie rodziny, na dzień bowiem trzydziestego pierwszego przypada uroczystość świętej Petroneli panny, a takie imię, jako drugie, otrzymała na chrzcie świętym moja zacna magnifika, która właśnie w tym dniu przyszła na ten świat. Ze względu, że to przed pierwszym, a ja ostatnie trzy tygodnie każdego miesiąca zaliczam do dni krytycznych pierwszego rzędu, ograniczyłem się tylko do złożenia jej serdecznych życzeń, by żyła aż do samej śmierci. Spodziewałem się, że babina urządzi w domu *ex re* takiego festu jakieś maleńkie przyjęcie, zawiódłem się niestety. Otarła, jak to mówią, nos szkłem, tłumacząc się ciężkimi czasami!

Ma racyę, bo któraż kobieta jej nie ma?... Doszło przecież do tego, że funt cebuli kosztuje coś około guldena, a bez niej trudno się obejść w gospodarstwie domowem.

Ja zato, aby baby zawstydzić, zafundowałem im oglądnięcie jesiotra, kąpiącego się w wannie w sklepie Towarzystwa rybackiego, ale przyznam się w sekrecie, że tylko dlatego, iż to nic nie kosztowało.

Poczciwe jesiotrzysko, jakby wiedział, że w Krakowie brak mięsa, przypłynął aż tutaj i zakończył doczesny żywot w żołądkach zgłodniałych Krakowian.

W normalnych warunkach byłby zrobił większą furorę, byłoby się go może nawet i wyfotografowało, dziś zajęci wszyscy wojną i Annunziem, o którym się w Krakowie nawet więcej mówi, niż o niejednym z obywateli, co to „miastem trzęsie“.

Zajmowałem się już tym panem w poprzedniej kronice, zazdroszcząc mu owego pół milionka, co to już, i tej reszty, która ma w dalszym ciągu nastąpić, podzieliłem się też z Czytelnikami wiadomością, zaczerpniętą z encyklopedyi, że nazywa on się właściwie Gaetano Rapagnetta. Tymczasem dziś spotykam się z notatkami w dziennikach, że to żaden Rapagnetta, ale pan Rapaport, krew z krwi i kość z kości naszej, którego tatko zajęty był u hrabiego Gołuchowskiego i z nim pojechał do Włoch, gdzie zmienił nazwisko na Rapazzi. Wybrał sobie zaś takie, a nie inne, tylko dlatego, by nie zmieniać znaków na bieliźnie, miał bowiem wszystkiego po pełnym tuzinie, a był podobno bardzo oszczędnym.

Syn nazwał się już po szlachecku d'Annunzio, prowadził też bardzo szlachecki żywot, robiąc długi, gdzie się tylko da i nie wiele brakowało, a byłby został umęczon przez wierzycieli, którzy i we Włoszech są bardzo niecierpliwi.

Teraz jednak śmieje się z nich, niczem Samson z Filistynów i obiecuje, że odda, co winien, ale dopiero po wojnie. W maju!...

Jakżeby jednak ośmielili się zaczepiać taką poważną personę, kawalera orderu Annuncyaty, więc kuzyna królewskiego...

Oj, pomyślałem sobie w duchu, zdałby się i mnie taki order, może większy respekt mieliby wtedy wobec mnie moi wierzyciele, których mam z pewnością nie mniej, niż pan Gabryel! Pod tym względem moglibyśmy sobie całkiem spokojnie podać rękę i nazwać się: *socii doloris!...* Ale któryż z literatów lub dziennikarzy nie ma długów? Ta kategorya ludzi nie potrafi się bez nich obejść, jak ów jesiotr bez wody!

Zastrzegam się, że wiadomość o nazwisku Rapazzi-Rapaport powtórzyłem za naszemi pismami codziennemi, te zaś za *Neues Pester Journal*, którego korespondent na własne uszy miał to słyszeć z własnych ust hr. Gołuchowskiego.

Zastrzegam się zaś dlatego, gdyż boję się, by wobec tego pan Annunzio-Rapaport Rapazzi Rapagnetta nie wystosował do mnie listu otwartego w tej kwestyi. Byłby on z pewnością napisany po włosku, a ja tym językiem nie władam, miałbym więc sporo kłopotów nimbym się dowiedział, o co mu się rozchodzi.

A listy otwarte są teraz w modzie. Nawet w Krakowie ma się pojawić, albo już się może pojawił list otwarty do pana Annunzia. Dowiedziałem się o tem w oazie „pod Palmą“, gdzie tę sprawę szeroko i długo omawiano. Do wiadomości autorów listu podam tylko tyle, iż, ponieważ adresat oświadczył chęć służenia we wojsku jako zwykły żołnierz, porta płacić nie potrzeba.

Ale nie tylko Annunzio postanowił chwycić za miecz, odziedziczony po przodkach, także panowie Caruso i Puccini mają zamiar ruszyć w pole, wprawdzie bez mieczów, obrali sobie bowiem bezpieczniejszą służbę sanitarną. Jeden będzie komponował, drugi śpiewał, najlepiej zaś na tem wyjdą chorzy, którzy będą mieli gratisowe koncerty.

Skoro już jestem przy Włochach, muszę poświęcić im jeszcze kilka słów. Słyszeliśmy nieraz gadania o wysokiej włoskiej kulturze i narzekania na niemieckie barbarzyństwo, dziś przecież przedstawia się to w zupełnie innem świetle.

Jako dowód przytoczę wyjątek z rozkazu, wydanego przez naczelne dowództwo armii niemieckiej, a przestrzegającego przed dopuszczaniem się gwałtów wobec obywateli włoskich:

Brzmi on, jak następuje:

„Wojny toczą się na frontach bojowych, ale nie w kawiarniach i gospodach, tem mniej na ulicy, jak to dzieje się w Anglii“.

A trzeba przyznać, że Włosi nie ustępują ani na krok swym przyjaciołom z trójporozumienia. Wobec obywateli austryackich i niemieckich, w przeciągu kilku dni przed definitywnem wypowiedzeniem wojny i bezpośrednio po niem, okazali tyle zdziczenia, że nie powstydziłby się tego pierwszy lepszy Kałmuk lub inna, jeszcze mniej kulturalna kreatura.

Kto więc właściwie jest barbarzyńcą? Z powyższego widać, że w każdym razie nie Niemcy, wyraźnie się oświadczające, że będą szanować cudzą własność prywatną.

Napadanie na obcych poddanych i niszczenie ich mienia tylko dlatego, że z rządem danego państwa pozostaje się na stopie wojennej, jest dobrowolnem przyznaniem się do swej słabości i własnoręcznem wystawieniem sobie świadectwa moralnego ubóstwa. Na polu walki należy dać upust nagromadzonej energii, a nie po szynkach, kawiarniach lub na ulicy.

Włosi jednakowoż wzorują się na Anglikach, którzy w ten sam sposób starali się okazać swój strach przed Niemcami, demolując w licznych miastach sklepy, fabryki i mieszkania spokojnej ludności austryackiej lub niemieckiego pochodzenia.

I ci panowie mają jeszcze na tyle czoła, iż twierdzą, że podjęli walkę tylko w obronie zagrożonej kultury... Ale chyba przez siebie samych!... powinien dośpiewać sobie w duszy cierpliwy słuchacz tych wynurzeń.

Tak, wojna zmienia ludzi w najrozmaitszy sposób. I ze mnie, mięsożernego stworzenia, zrobiła już częściowo wegetaryanina, dzień bowiem 28 maja był epokowym. W dniu tym weszło po raz pierwszy w życie rozporządzenie namiestnictwa, ustanawiające dwa dni w tygodniu, przeznaczone na urzędowy post od mięsa wołowego, cielęcego i wieprzowego, pozwalające natomiast na konsumowanie flaczków, płucek i innych tego rodzaju przysmaków.

Ponieważ w dniu tym odbywała się w mym domu uroczystość familijna, zwana „wielkiem praniem“, a piec kuchenny zajęty został przez garnki z bielizną, otrzymałem wyraźny rozkaz od władzy domowej, bym głód swój zaspokoił na mieście. Jako posłuszny małżonek uczyniłem zadość woli mej połowicy, nie gniewając się na nią, choć na opędzenie kosztów dała mi tylko koronę i pociągnąłem według zwyczaju... dokąd, nie powiem, niech się, kto chce, domyśli.

Post, to post. Kazałem sobie podać zupkę, była grochowa, na drugie zjadłem talerz fasoli z masłem, potem porcyę pęcaku ze słoninką, wreszcie dzióbnąłem lekko łazanków ze serem, co wszystko razem tak mnie usposobiło, iż koniecznie mi się zdawało, że lada chwila zamienię się w balon Zeppelina, lub pęknę, nie posiadając odpowiednio urządzonej klapy bezpieczeństwa, w którą zaopatrzone są wszelkie statki powietrzne.

Odtąd, kto skazany jest na stołowanie się w publicznych jadłodajniach, będzie miał tę przyjemność dwa razy w tygodniu, to jest we wtorek i w piątek, nic też dziwnego, że w te dni spotkasz w pobiednich godzinach więcej spacerowiczów na Błoniach, niż to było w owych czasach, kiedy wolno ci było jeść mięso zawsze wtedy, gdyś miał pieniądze. Obiecują, że z czasem dojdzie do tego, iż mięso podawać będą w restauracyach tylko dwa razy w tygodniu, przez pięć dni natomiast będzie człowiek skazany na żywienie się pokarmem roślinnym.

Wspominałem już kilka razy, jak to podobno wpływa dodatnio na usposobienie, ja tam przecież wolę zostać takim, jakim byłem, zwłaszcza, że gadaniom wierzyć nie można. Popatrzmy na Włochów!... Żywią się oni sałatką i inną zieleniną, a pokazali charakter daleko czarniejszy, niż ci, którzy jedzą mięso!

Gdyby tak człowiek mógł się zupełnie odzwyczaić od wszelakiego jedzenia, to byłoby dopiero wygodnem, sądzę też, że pomyślą o tem nasi wielcy uczeni, a zyska ą przez to wdzięczność ogółu i uznanie.

Byłbym niewdzięcznikiem, bym bodaj na zakończenie kroniki nie wspomniał kilku słowami o ewakuacyi, dzięki której jeden z budynków magistrackich, nie mogąc się oprzeć naciskowi tłoczącej się publiczności, wypowiedział swą służbę, to jest zarysował się w kilku miejscach. Sama sprawa nic na tem nie ucierpiała, nikt też nie poniósł najmniejszego szwanku, my zresztą przyzwyczajeni jesteśmy już do tego, że w Krakowie walą się nie tylko stare budy, jak właśnie ta, o której mowa, ale nawet i takie, których budowy jeszcze nie ukończono.

To się nazywa nowoczesna architektura.

Zagadki do nagrody.

Kwadrat magiczny.

Ułożył Z. Szymanek, Nowy Sącz.

Podane litery uporządkować w ten sposób, by utworzyły cztery wyrazy, równobrzmiące w kierunku pionowym i poziomym

a a d e
e e g g
g r r r
r y y y

Znaczenie wyrazów: 1. Angielski mąż stanu. 2. Miasto portowe w Rosyi. 3. Miasto w Czechach. 4. Miara angielska.

Szarada.

Ułożył Z. Szymanek, Nowy Sącz.

Czy na świecie *pierwsze-drugie,*
Czy maj nęci czarem wiosny,
Na cześć *całej* ziemia nuci
Nieustanny hymn radosny,
I choć nieraz *trzecia-czwarta*
Stawia dla niej się na kartę,
Bez *całości* jednak życie
Byłoby niewiele warte:

Zadanie do przestawienia.

Ułożył Z. Szymanek, Nowy Sącz.

Z podanych liter ułożyć znane polskie przysłowie:

Łódka jej wozi i sosny i krasne panny.

Przekładanka.

Ułożył Sz. Kiliński, Nowy Jiczyn.

Litery poprzestawiać w ten sposób, aby powstały wyrazy o pewnem znaczeniu. Pierwszy rząd pionowy czytany z góry na dół, utworzy nam nazwisko zmarłego niedawno polskiego powieściopisarza.

a e k ł m n o ż
g i k o r s y z
a c i i k ł n n
d k k l o o r y
a b e l o t w y
d e i j o r w z
a a i k n o s s
a c e h k k n o
a a d i i l n w

Trójkąt magiczny.

Ułożył Z. Szymanek, Nowy Sącz.

Kwadraty i kreski zastąpić w ten sposób literami, aby powstały wyrazy o podanem znaczeniu. Pierwszy rząd pionowy i poziomy utworzy nazwisko i imię znakomitego współczesnego polskiego malarza.

☐ ☐ ☐ ☐ ☐ ☐ ☐ ☐ ☐ ☐ ☐ ☐ ☐ ☐
☐ — — — — — — — — — — — —
☐ — — — — — — — — — — —
☐ — — — — — — — — — —
☐ — — — — — — — — —
☐ — — — — — — — —
☐ — — — — — — —
☐ — — — — — —
☐ — — — — —
☐ — — — —
☐ — — —
☐ — —
☐ —
☐

Znaczenie wyrazów: 1. Szukany wyraz. 2. Sekta religijna, powstała w średnich wiekach na Wschodzie. 3. Zajęcie ruchomości. 4. Choroba zakaźna. 5. Tylna straż. 6. Lekki wózek 7. Kapłanka rzymska. 8 Imię męskie litewskie. 9. Krzew ozdobny. 10. Pies. 11. Kwiat. 12. Litera grecka. 13 Zaimek. 14. Spółgłoska.

Okienko.

Ułożył Z. Szymanek, Nowy Sącz.

Podane litery uporządkować w ten sposób, aby utworzyły trzy wyrazy, równobrzmiące w kierunku pionowym i poziomym.

a a e e e
e e e
h i i k k
m m n
o o r r r

Znaczenie wyrazów: 1. Poeta grecki. 2. Ewangelista. 3. Ryba.

Łamigłówka.

Ułożył Z. Szymanek, Nowy Sącz.

Uzupełnić podane wyrazy. Litery, wstawione w miejsce kresek, czytane z góry na dół, utworzą nazwiska dwu polskich kronikarzy.

– o · t
ż—l –
e—i—
z – o —
r—n—
—y t

Zadanie do przestawienia.

Ułożył Z. Szymanek, Nowy Sącz.

Z podanych liter ułożyć znane polskie przysłowie:

Polak kontent osadzi kata sowy.

Bilety wizytowe.

Ułożył Sz. Kiliński, Nowy Jiczyn.

Z liter na biletach ułożyć zawód, względnie godność poszczególnych osób

ZYTA KNUMKA

ANNA KIRYTKA

IZAK NOMIR

PIOTR IWAN OFERYCOW

ARYAN KAZ TIR

Za dobre rozwiązanie wszystkich powyższych zagadek przeznacza Redakcya do rozlosowania *Gabryeli Zapolskiej:* **O czem się nie mówi.** Powieść współczesna

Rozwiązanie zagadek z Nr. 21.

Logogryf geograficzny:

N e a p o l
I s t m u s
E l b l ą g
D n i e p r
L e s b o s
A m i e n s
P i r e u s
S e r b i a
A r a b i a
K a l i s z
I b e r g a
E u r o p a
Ł u ż y c e
B a ł k a n
A t t y k a
S k a d a r
A f r y k a

Szarada: Kołomyja.

Przysłowiówka: Poznać głupiego, po śmiechu jego.

Zadanie konikowe Kto wiatr sieje burzę zbiera.

Trójkąt magiczny:

S i e r o s z e w s k i
I n t e r r e g n u m
E u d e m o n i z m
R o t m i s t r z
O w i d y u s z
S a l o m e a
Z r i n y i
E k r a n
W ó j t
S ą g
K u
I

Zadanie do przestawienia: Nie dał Pan Bóg świni rogów, boby gryzła i bodła.

Zadanie do przestawienia: Z wielkiej chmury mały deszcz.

Bilety wizytowe: Respicyent. Kopista. Ordynans. Poczmistrz. Retuszer.

Dobre rozwiązania nadesłali Pp: J. Jakubowska Kraków, A. Kosiński Zakopane, M. Wyka Kraków. D. Ligęza Kraków, D. Sedyńska Kraków, J. Roland Kraków, M. Planecka Kraków, H. Korytowski Cieszyn, A. Siatka Kraków, J. Kwaśniewski Krzeszów, F. Gebhardt Kraków, J. Sadowski Kraków, H. Trojacki Wiedeń, C. Wang Wadowice. K. Sawliński Jasło. I. Brzostowski Krosno. S. Karwowski Berlin, D. Łopatyński Kraków, M. Klappholz Kraków, D. Engelberg Wiedeń, J. Lisowski Oświęcim, S. Osadowska Rzeczyca, K. Radoszewski Sucha. S. Krzyżanowski Kraków, J. Rosenbaum Skawina, J. Krawecki Wadowice, W. Potocka Kraków, D. Karczmarski Poddębie, J. Zachara Biała, J. Łopatkiewicz Praga, L. Lang Kraków, B. Zbigniewicz Kraków, S. Sokołowski Kraków, L. Kozubski Wiedeń. K. Karpowicz Wiedeń, J. Sperling Wiedeń, S. Cegielski Poznań, F. Zając Bochnia, K. Kinalski Biała, S. Bernatowicz Zakopane, M. Klimek Cieszyn, S. Lipski Wiedeń, A. Gralewski Kraków, J. Jahoda Cieszyn, T. Biliński Oświęcim. A. Dużak Kraków, S. Jasiński, Budapeszt, J. Broda Mor-Ostrawa, S. Grodzicki Praga, L. Kinalski Praga, Z Szymanek Nowy Sącz, Henryk Królicki Nowy Sącz.

Nagrodę przez losowanie otrzymał p. **J. Krawecki, Wadowice.** Upraszamy o nadesłanie 35 hal. na koszta poleconej przesyłki.

Z półek księgarskich.

Nakładem *Księgarni Podhalańskiej w Zakopanem* opuściły świeżo prasę dwie nader na czasie będące broszurki p. t.

Co to jest cholera i jak ją zwalczać. Desinfekcya.

Obie wyszły z pod pióra dra J S., a poruszają w sposób bardzo przystępny kwestye, zajmujące każdego, powinny też znaleźć jak najszersze rozpowszechnienie, zwłaszcza wobec bardzo nizkiej ceny (20 i 10 halerzy).

Pod znakiem wojny.

(Kącik humorystyczny).

Z heraldyki.

Jak się dowiadujemy, lwy, które dotąd widniały na herbie angielskim, zniechęcone niezbyt poprawnem postępowaniem swych panów, postanowiły zrezygnować z tego zaszczytnego stanowiska, a miejsce ich, w braku innych zwierząt, zajęły hyeny.

Podsłuchane.

— Słyszałeś? Staszek wstąpił do wojska, jako ochotnik i podobno dokazuje na polu walki cudów waleczności!

— Nigdybym go o coś podobnego nie posądził!

— O! On był zawsze bardzo odważny! Wszak mając lat dwadzieścia cztery, ożenił się z wdową z siedmiorgiem dzieci!...

Jojne Firułkes zwycięzca.

Do pułkownika zgłasza się Jojne, pełniący służbę przy wojsku i prosi o posłuchanie.

— Czego tam? — pyta pułkownik, zajęty jakąś ważną rozmową.

— *Herr Generalleiben...* Ja chciałem tylko zapitacz, co ja dostanę za to, jak ja zdobędę chorągiew nieprzyjacielską...

— Co wolisz! Albo sto koron, albo przedstawię cię do odznaczenia...

— To ja już wolim sto koron...

— No, w takim razie zdobądź tylko, a ja już słowa dotrzymam!

Za kwadrans zgłasza się Jojne, tym razem dzierżąc w ręce sztandar nieprzyjacielski.

Pułkownik, zoczywszy tak namacalny dowód męstwa Jojny, poklepał go po ramieniu, pochwalił i kazał mu wypłacić sto koron z kasy pułkowej.

Gdy już Jojne miał pieniądze w kieszeni, zapytuje go jeszcze na odchodnem:

— A powiedzno mi, w jaki sposób zdobyłeś ten sztandar!

A Jojne na to, nachylając się dyskretnie, mówi półgłosem:

— *Herr Generalleiben!* Jak ja wczoraj widziałem, że u Moskali jest chorążym także żydek, tak ja sobie zaraz pomyślałem, że będzie można zrobić interes do spółki. A teraz takie ciężkie czasy!... On tu czeka, ja jemu mam dać połowę, a potem to go jeszcze wezmę do niewoli!...

Jedyny w Krakowie, który posiada **własny wyrób trumien**

Zakład pogrzebowy „Concordia" Jana Wolnego

Kraków, Plac Szczepański L. 2 (dom własny) **Telefon Nr. 381.**

HUMORYSTYCZNY

KALENDARZ „BOCIANA"

na rok 1915

już wyszedł i jest do nabycia we wszystkich trafikach i księgarniach.

Nabywać go też można wprost w Administracyi „Bociana", Kraków XV. Przesyłki uskutecznia się odwrotnie **za nadesłaniem należytości z góry, za egzemplarz 1 kor. — (50 kop.), na porto 10 hal., lub 35 hal. na porto rekomendowane.** Za przesyłki nie rekomendowane Administracya nie odpowiada.

Rok założenia **1900**

Po drodze do Zakopanego

lub wracając, najlepiej zaopatrzeć się można w wszelkie **ubiory męskie** doborowej jakości, **gotowe lub na miarę**

W ZWIĄZKU KATOL. KRAWCÓW

W KRAKOWIE, Floryańska 7. — WE LWOWIE, Plac Halicki 7.

---

500 kor.

zapłacę każdemu, jeżeli nagniotki, brodawki, skórę zrogowaciałą nie usunie w trzech dniach z korzeniami bez bólu „Riabalsam".



Cena 1 słoika 2 kor. 50 hal., 3 słoiki 4 kor. 50 hal.

Kemény

Koszyce (Kassa) I. fach pocztowy 12. Węgry.

Józef Lasoń.

Zatracone dusze

Nowele.

Treść: W księżycową noc. – Krew. – Za wstyd. – Na Saksy. – Wojtek malarz. – Warkocz: Cześć I. Peja. Cześć II. Jedna chwila.

Cena 2 korony.

Do nabycia we wszystkich Księgarniach.

KINO-WANDA

przy ulicy św. Gertrudy L. 5.

Co trzeci dzień nowy program.

Przedstawienia trwają w dnie powszednie: od godziny 4-tej do 11-tej, w niedziele i święta od godziny 3-ciej do 11-tej wieczór.

Muzyka wojskowa w każdą niedzielę.

Pięć aparatów fotograficznych

ręcznych w form. 6×9

(Brownie Camera Nr. 2)

do sprzedania.

Wiadomość w Administracyi „Nowości Illustrowanych".

WYROBY KRAJOWE

Rok założ. 1880. **D. Béze** Rok założ. 1880.

Zakopane, Krupówki.

WIELKI WYBOR PERFUM.

Pamiątki patryotyczne. Wielki wybór biżuteryi francuskiej i fantazyjnej. **MOZAIKI.** Prawdziwe granaty.	Wyroby rzeźbione Zakopiańskie. Wyroby skórzane. Wielki wybór **torebek** damskich.	Wielki wybór **ZABAWEK.** **Lalki** Krakowianki. **Laski i toporki.** Kartki korespondencyjne illustrowane.

ADMINISTRACYA „Nowości Illustrowanych" **odsprzedaje fotografie i klisze cynkowe** **z każdego numeru po połowie ceny własnych kosztów.**

DRUKARNIA

D. E. FRIEDLEINA W KRAKOWIE

ULICA KAZIMIERZA WIELKIEGO 95 — TELEFON 479

zaopatrzona jest w wielką ilość czcionek różnego kroju i maszyny pospieszne. Wykonywa wszelkie roboty w zakres drukarstwa wchodzące: broszury, cenniki, katalogi, cyrkularze, afisze, zaproszenia ślubne, tabele itp. szybko, starannie, po cenach umiarkowanych.

Właściciele i wydawcy: Spadkobiercy St. Lipińskiego. Odpow. redaktor.: M. Lipińska Klisze własnego zakładu Drukarnia D. E. Friedleina w Krakowie, pod zarządem Pawła Madejskiego